

**Alison Wong**

Gdy srebrzy się ziemia

## JABŁKA

Kiedy po raz pierwszy przyszła do sklepu, Yung polerował jabłka miękką szarą szmatką, by lśniły czerwienią, przycinał sekatorem ogonki do tej samej długości i owijał każdy owoc zielonym papierem, a na koniec układał je równiutko na drewnianej półce.

Podniósłszy wzrok, zobaczył czarną suknię, długą spódnicę zebraną w pasie i obfity biust. Czerni oznaczała starą kobietę lub wdowę. Ta miała długie kasztanowe włosy upchnięte pod kapeluszem, ale kilka siwiejących kosmyków wymknęło się na wiatr.

– Dzień dobry – powiedział.

Odwróciła oczy od warzyw i uśmiechnęła się słabo.

– Dzień dobry.

Zdziwił się: głos miała niższy, niż się spodziewał.

– Malchew baldzo dobla. Baldzo świeża. Słodka.

– Naprawdę? – Spojrzała znów na kapusty i sięgnęła po największą połówkę.

Wybrał wypolerowane już jabłko i wyciął zeń nożem dwie ćwiartki.

– Jabłko baldzo dobre – zapewnił, chrupiąc swoją ćwiartkę. – Płoszę się poczęstować.

Kobieta się zawahała. Wreszcie ugryzła ostrożnie, powoli, jak gdyby po raz pierwszy w życiu kosztowała jabłka. Wydało mu się, że jej oczy zamknęły się na moment, a usta rozciągnęły w uśmiechu, ale nie sięgnęła po resztę owocu ani po nóż, który Yung dla niej zostawił.

Wybrała pół kapusty, kilka marchewek związanych Inianym sznurkiem i trzy brzydkie jabłka z kosza przecenionych owoców. Nie patrzyła mu w twarz i Yung zrozumiał, że czuje się zażenowana, że nie kupiła dobrych jabłek, które jej zaoferował.

Owinał warzywa w gazetę, owoce włożył do brązowej papierowej torby i szybkim ruchem dorzucił do niej niedojedzone jabłko oraz jeszcze jedno całe. Zaskoczona kobieta spojrzała na niego badawczo. Pod smutnymi zielonymi oczami miała cienie. Podziękowała mu i wyszła na ulicę, gdzie wiatr znów zaczął igrać z jej włosami.

Przychodziła do sklepu w każdy poniedziałek i czwartek. Zawsze była bardzo uprzejma, czasami się uśmiechała i widział delikatne zmarszczki wokół jej oczu oraz na piegowatym nosie. Miała białe zęby.

Pewnego popołudnia, kiedy wyszła już ze sklepu, przebywająca w nim pani Paterson zacmokała.

– Ona nawet chleb kupuje wczorajszy. Biedactwo. Znasz ten dom z odpadającym tynkiem? Z dziurawym płotem i zepsutą furtką? Ona ma dwoje dzieci i za mało pieniędzy,

żeby je wyżywić. Strasznie mi żal jej męża. Donald McKechnie był bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Kiedy tylko brat tego nie widział, Yung dodawał po jednym dobrym owocu do brzydkich, które wybierała pani McKechnie. Jeśli kupowała trzy przejrzałe gruszki, dorzucał lśniąca, chrupkie jabłko. Jeśli brała trzy pokryte plamami banany, dokładał soczystą pomarańczę. Brał nóż i częstował ją każdym nowym owocem, i zawsze, nawet gdy miał już jakiś nadkrojony dla poprzedniego klienta, oferował jej nietknięty. Wręczając jej zakupy, mówił: „Miłego dnia, pani McKechnie” i uśmiechał się z nadzieją, że dziś zainicjują się lepsze czasy.

(...)

## BŁĘKIT

Kiedy pani McKechnie wstąpiła po pracy do sklepu, Yung z wrażenia zapomniał się z nią przywitać. Zawsze widywał ją w czerni, a teraz była w niebieskiej sukience, w której wyglądała na młodszą, żywszą.

Kiedy obciął włosy i wdział zachodni strój, jego brat burknął pod nosem:

– Nie możesz już wrócić do kraju. Czekalaby cię egzekucja.

Yung tylko się uśmiechnął. Do diabła z cesarzową! Czuł się cudownie wolny.

Teraz patrzył na panią McKechnie i widział w niej podobną przemianę. Szła wyprostowana, tak sprężystym krokiem, jak gdyby grała tu muzyka, a ona miała za chwilę ruszyć w tan. Uśmiechnęła się do Yunga, a on zwrócił uwagę na jej oczy. Barwa sukienki sprawiła, że stały się wyrazistsze, bardziej błękitne niż zielone, i dziwnie piękne.

Yung nie wiedział, co powiedzieć. Miał przygotowane pytania – artykuły, zdjęcia, ilustracje z gazet; ten świat był przecież pełen ciekawostek – ale nagle wszystkie uleciały mu z głowy.

To ona zaczęła rozmowę.

– A gdzie drugi sprzedawca? Nie widziałam go od tygodni.

– Mój blat? – spytał, związując worek jabłek. – Pojechał do klaju.

– Kiedy wraca?

– Kilka miesięcy... – Przygryzł wargi. – On włóci z... żoną.

– O... No tak, bez rodzin musicie się tu czuć samotni.

Zapakował jej kalafiory i z wymuszonym uśmiechem życzył miłego dnia, ale nie spojrzał jej przy tym w oczy. Patrzył, jak kobieta wychodzi, a jej miedziane włosy odcinają się od błękitu sukienki.

Zajrzał na zaplecze i poprosił kuzyna Gok-nama, który właśnie mył marchewki, żeby stanął za ladą. Potem wszedł po schodach do swojego pokoju, otworzył kasetkę z drewna

sandałowego i wyciągnął list. Przeczytał go powoli. Następnie położył się na łóżku i wpatrywał w sufit. Słyszał stukot tramwajów i powozów sunących po ulicy, widział, jak słabnie blask dnia. Wstał i wziął do ręki bambusowy flet. Sam go zrobił. Z namaszczeniem, tak jak nauczył go ojciec, wyźłobił wnętrze, przebił otwory, ostrugał kawałek korka, żeby zatkać koniec. Czasami w niedzielę albo nocą, po zamknięciu sklepu, dopóki brat nie zastukał głośno w drzwi, każąc mu spać, Yung siadał na łóżku i grał na flecie albo na *erh hu*, chińskich skrzypcach. Grał pieśń o miłości, a może o opuszczaniu domu, o pokonywaniu tysięcy *li*<sup>1</sup>, o budzeniu się nocą w samotności.

List leżał otwarty na łóżku, a Yung trzymał w dłoniach flet: lekkie, smukłe ciało przepelnione smutkiem. Przycisnął instrument do ust.

(...)

*Wong Chung-yung*

## DIABOLO

Moje serce to sznur petard, które wystrzelają bez ostrzeżenia, wór pełen fajerwerków i zimnych ogni, które syczą i błyskają. Do Święta Wiosny jeszcze daleko, a ja mam już to wszystko w sobie. Wykrzywiam wargi w imitacji uśmiechu, próbując powstrzymać śpiew, krzyk, potok błogosławieństw i przekleństw.

Nie potrafię tego pojąć.

Wszystko z powodu diablidy. Prawdziwej diablidy.

Ma za duży nos, za duże piersi, za duże stopy. Nie porusza się jak kobieta. Ma czerwone, diabelskie włosy. A zarazem miłe, smutne, piękne niebieskozielone oczy oraz pełne, ponętne usta – i do tego zwraca się do mnie uprzejmie. „Panie Wong” – mówi, jak gdybym był człowiekiem, a nie Chińczykiem.

Petardy mają przepędzać demony. Tymczasem ona wchodzi do sklepu, w moim wnętrzu wszystko wybucha, a ona nie ucieka.

Dzisiaj przychodzi z córką. Pokazuję im najlepsze jabłka.

– Te ładne i czerwone, ale jaki smak? Bez smaku, *la!* Miękkie – jak stare, mokre ciasto. Ale tamte chrupkie i soczyste. Dobry smak. Proszę spróbować, *la*, proszę spróbować.

Kroję jabłko i czekam, aż się uśmiechną, pokiwiają głowami. Ona odwraca się i woła syna. Dopiero wtedy go dostrzegam. Czai się przy drzwiach i nie chce wejść. Ona nalega:

– Spróbuj jabłka – mówi. – Chodź i wybierz sobie.

Otwieram papierową torbę, a jej córka wrzuca cztery, pięć, sześć jabłek. Ważę je.

---

<sup>1</sup> Li – chińska jednostka odległości równa 500 m.

- Funt trzy pensy - mówię, dorzucając jeszcze jedno jabłko, okręcam torbę, zaginam rogi jak kocie uszy.

- Robbie! - woła ona i chłopak wreszcie wchodzi, trzymając diabolo, które dostał od ojca. - Istne szaleństwo - mówi. - Każdy w to gra. - Ale ona nie potrafi.

- My gramy w Chinach - mówię. - Wujek przywiózł z Pekinu.

Robię coś zwariowanego: pokazuję jej. Pociągam za sznurek i drewniana szpula, wirując, wzbija się w powietrze. W dzieciństwie potrafiłem podrzucić diabolo wysoko, zrobić gwiazdę, salto albo przewrót w tył, a potem znów je chwycić. Ale teraz moje ciało porusza się znacznie wolniej. Nadal umiem podrzucić diabolo i złapać za plecami, wiem, że tak, ale sklep jest mały, a sufit niski. Szpula spadnie, jak ptak trafiony kamieniem.

Chłopak patrzy na mnie, wydymając dolną wargę, na której można by postawić butelkę oliwy. Trzyma rękę w kieszeni i teraz wiem, o co chodzi. Już go widziałem, z tym jego grubym kolegą. Biegają za końmi i szpadlami zbierają odchody. „Wiadro za pensa! Wiadro za pensa! - krzyczą. - Dobre do ogrodu!“. Znam go i wiem, co chowa w kieszeni.

Szary dzień, brązowy pył, podmuch północnego wiatru. Wóz z mlekiem Frasera, zmęczony stary koń wiezie metalowe bańki. Kamień nadleciał znikąd. Domy naprzeciwko, konie i wzbity w powietrze pył. Moje piękne okno z wypolerowanymi owocami: jabłkami ukazującymi najbardziej rumianą skórkę, pomarańczami, bananami i gruszkami. Moje roztrzaskane okno, wspaniałe owoce pocięte odłamkami. Wybiegłem wtedy i zobaczyłem go, z uśmiechem na twarzy i procą w ręku. Uciekał.

- Dziękuję, panie Wong - mówi ona. - Edie, Robbie, podziękujcie.

Dziewczynka się waha, potem dziękuje. Podaję jej diabolo.

Pani McKechnie. Dobra, pechowa kobieta. Matka rudego, złego chłopca. Żona zmarłego mężczyzny.

(...)